RODZINA I DZIECKO



N. 5

CZASOPISMO ZESPOŁU RODZICÓW

TREŚĆ

Zakł. Graf. „NASZA DRUKARNIA", Warszawa, Sienna 15

Nr. 5. MARZEC R. SZK. 1935/36

RODZINA I DZIECKO

CZASOPISMO

ZESPOŁU RODZICÓW GRUPY „ZRĘBU"

MYŚLI JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO

Powtarzamy jego słowa, jakgdyby był żywą istotą, powtarzamy wrażenia, które przeżywał, jeżdżąc po świecie. Wiemy, co mu się podobało, a co nie pozostawiło na nim żadnej impresji. Jest więc żywy i żyje wśród nas i prawda śmierci okrutna, prawda śmierci potężna, nie istnieje dla niego... Zda się, jakgdyby bramy śmierci przepastne za nim zamknęły się nieszczelnie. Dla niektórych ludzi zostają one otwarte, tak, że życie i śmierć się nie rozdzielą. Zda się, że są ludzie, którzy żyć muszą dłużej, których życie trwa nie latami, a wiekami, wbrew prawdzie przyrodzenia ludzkiego.

Przemówienie w Krakowie na Wawelu 27-VI-1927 r.

*

Powtarzam: trzeba mieć silną wolę i pewność siebie, — a przyszłość jaśniejszą będzie, niż smutne nieraz „dzisiaj".

*

Chcę jednak w tem miejscu wykazać, że obok materjalnych wysilków niezbędna jest przy przezwyciężaniu przeszkód i przy przechodzeniu przez krytyczne chwile: siła moralna! wiara w siebie. Bez tego niewiele zrobić można. — Bez tego przed każdą przeszkodą się cofniemy, a w każdym kryzysie się załamiemy.

*

Gdy myślę o zadaniach, stojących przed Polską, chciałbym wnieść do Polski całą namiętność pracy, którąby Polskę przeniknęła, dać umiejętność zorganizowania pracy sumiennej, umiejętność pracy uczciwej.

*

Służymy Ojczyźnie. A służba jest niczem innem, jak słuchaniem praw, przez ojczyznę, dla ojczyzny ustanowionych.

*

Gdy w Wilnie mam mówić, nie chcę w swej mowie ni zgrzytów, ni goryczy. Małym chłopcem biegałem tu po ulicach. Do szkoły tu chodziłem i do miasta. Uczyłem się tu przywiązywać, uczyłem się myśleć i uczyłem się kochać. Gdy więc w Wilnie mówię, nie szukam goryczy, nie wołam zgrzytów. Będę mówił o jednem słowie tak, jak nieraz w samotności nad tem słowem myślałem. Słowo to w języku polskim brzmi „miły". Słowo, które się na inne języki ledwo daje tłumaczyć. Gdy szukałem w innych językach odpowiednika, nigdziem go nie znalazł. Slowo „miły" synonimowo nie da się oznaczyć. Jeżeli słowo przybliżone, jakiem jest „piękny" nawet „ładny" weźmiemy, to „miły" niekiedy jest przeciwstawne do tego, co piękne, do tego, co ładne. Mówimy: „miły wyraz twarzy", mówimy: „miły uśmiech", mówimy: „miłe przeżycia". A pojęcie piękna w tem nie istnieje. Miła rzecz nie jest piękna. Inna prawda duszę przykuwa. Inna myśl przyciąga. „Miły" gdy dobrze pomyśleć, jest miłym i basta. Nie znajdziemy żadnego odpowiednika, któryby temu słowu odpowiadał lub go jako tako tłumaczył. Jest w tem czar i urok. Urok i czar, który jest silniejszy nad moce i piękniejszy nad piękno, który daje chwilę przyciągającą i duszę skuwającą ku sobie, tak, że niebo wprowadza na ziemi. I gdy myślę znowu o pojęciu „miły" sądzę, że najłatwiej to sobie wytłumaczyć, gdy miłe przeżycia ku sobie przywołam, gdy zacznę tłumaczyć słowo „miłe" tem, co dla ludzi wszystkich jest miłe, co mówi o miłem. I pierwszą rzeczą, którą wezmę, są prawa matczyne. Ileż to dzieci próbowałem przekonać, że matka ich jest brzydka. Pomimo, że nieładna była, każde dziecko zacięcie się broniło. Nie spotkałem dziecka, któreby mogło stwierdzić, że matka jest brzydka, i gdy nie mogło słowa „piękna" wykrztusić, odrazu zgadzało się ze mną, że matka jest miła. Matczyne łono, matczyne pieszczoty, pieściwe pieszczoty dziecka, które serce matki wyczuwa i z siebie wyrzuca: gdy dziecko w trwodze się budzi pierwsze spojrzenie widzi nad sobą matki schylonej, by pieszczotą gładzić dziecko, by je uspokoić.

Gdy dziecko silniej zaszlocha, matka dziecko zawoła, by je uspokoić, ku sobie przywiązać i szloch w piersi zdusić. I ileż wspomnień! Gdy mówię o matkach, ileż miłych wspomnień i miłych przeżyć ciągnie się ku temu, co matczyne i miłe. Jeżeli nie wszyscy panowie tak z dziećmi obcują, jak ja, to jednak dobra połowa ludzkości, matki z dziećmi mając do czynienia, ma te przeżycia miłego tak silne i tak niezłomne, że niosą swe przeżycia z dziećmi aż do grobu.

Janina Mally

MARSZAŁEK I DZIECKO

Trojakie są źródła naszych wiadomości o tem, jak bardzo kochał Marszałek dzieci.

Pierwszem są własne Jego słowa, słowa pełne serdecznej tkliwości, czułe, radosne i uśmiechnięte:

„Są takie bajki... Znam jedną taką, którą gdy tysiące i tysiące lat dzieciom się opowiada, to z tych łez szklistych i perlistych, co z pod powieki dziecka płyną, nie strumienie, lecz potoki, ziemię zalewające, sformowaćby można. I gdyby zebrać całe gorące serca, które wtedy się rozwijają, gorące policzki, wiejące oburzeniem, to nie łuny, pożary, lecz jakiś oddech płonącego słońca ziemię by spalił". (Przemówienie na zjeździe legjonistów, 1925).

„Któraż z prababek i prawnuczek nie będzie zcałowywać łzy rzęsistej i perlistej swych dzieci, płaczących nad Kopciuszkiem, któraż nie będzie uspokajać pałających główek, nie będzie płaczących policzków ściskać, gdy dziecko jest śmiertelnie obrażone, że zło gdziekolwiek, kiedykolwiek triumfuje?" (Idem).

„Gdy dziecina gdziekolwiek się rodzi, złe i dobre wróżki stoją u kolebki. Złe wróżki - czarownice z wężowym sykiem, z złośliwemi oczami, nie widząc i nie znając jeszcze dziecka, brzękiem złote czarują oczka, do złego pchają, wszystkie świecidełka, co mamią, dla pociągnięcie dziecka, u kolebki jego życia pokazują". (Idem).

„Matki i ojcowie, gdy sami śmiać się nie możecie, w kąt rzućcie instrumenty pedagogiczne, gdy wesoły srebrny dzwonek śmiechu roześmianych buziaków dziecinnych w waszych domach się rozlega. Niech się śmieją polskie dzieci śmiechem odrodzenia"... (Płyty gramofonowe).

„Romantyczny" to coś w rodzaju małego niezdarnego dzieciaka, który, siedząc na ręku matki, niepraktyczne, niepewne rączki wyciąga po jakąś błyskotkę, i ku wielkiemu, swemu zdziwieniu nie ją chwyta, a — naprzyład — kosmyk włosów matki!" (W dziesiątą rocznicę powstania legjonów).

„A również i dziecko, gdy oczki ciekawie w książki zapuszcza i z drżącem serduszkiem czyta dzieje „Tygrysich pazurów" i „Orlich piór", to znajdzie tam wszędzie dzieje wojowników i ich wodzów". (Demokracja a wojsko).

„Wiem, że dzieliłem losy z wielu ojcami, którzy widzieli dziecko, nie znające ojca, a które tylko paluszkiem nie żywą istotę ojca wskazuje, ale na fotografję, oznaczając ją słowem „tata". (Przemówienie na zebraniu Rodziny Wojskowej).

Drugiem źródłem są fotografje. Marszałek wśród dzieci. I nie o to mi chodzi, że pozwolił, że chciał fotografować się z niemi. Chodzi o to, by wpatrzeć się w Jego oczy i uśmiech, w ruch Jego ręki, w skłon postaci — naprzykład wtedy, gdy chory — w łóżku przyjmuje życzenia przedszkola Rodziny Wojskowej. czy gdy patrzy w Pomarańczarni na przedstawienie dzieci.

Trzeciem źródłem są słowa tych, co widzieli. Jak w Pikieliszkach chronił się na samotną ławkę i nikt nie miał do Niego dostępu prócz gromady dzieci wiejskich. Jak zadumę spojrzenia płoszył widok dziecięcego uśmiechu. Jak w niezapomniany dzień imienin z okna sypialni spoglądał na drużynę malców, jaka corocznie — przez długie lata — z „Dziecięcą brygadą“ witała Go z pośród drzew belwederskiego ogrodu.

Jaka tajemnica tkwi w owej miłości Wielkiego Człowieka do dziecka? Czy poszukiwanie — w rozgwarze i zgiełku życia — spokoju i oderwania od tego, co męczy i boli? Czy pociągał kontrast wielkości i prostoty? Czy potrzeba serca — wśród zawiści i zakłamania i podłości, jakiemi darzyło Go życie? Czy wyczucie uwielbienia bez zastrzeżeń?

*

Uwielbieniem bez zastrzeżeń darzyło Marszałka — dziecko.

19 marca 1919 r. Pierwsze imieniny w Niepodległej Polsce. Idą słuchy o tem, że będzie przyjmował życzenia w Belwederze. Nie był to czas, kiedy szkoły tłumnie schodziły się na dziedzińcu pałacowym; nie pomyśleli o tem ministrowie, ani dyrektorzy. Nie znaczy to, że nie pomyślała młodzież. Bo — dziwnym trafem — w wielu dziennikach klasowych czerniały owego dnia znaczki: np. chłopcy — ci są zawsze śmielsi — po dwóch, po trzech przemykali się ulicami miasta i, zgrzani, mnąc czapki w ręku meldowali się adjutantom: „my w delegacji“. Panowie adjutanci wpuszczali „delegacje“. Taki był rozkaz. Rozmawiałam owego pamiętnego dnia z samozwańczym dwunastoletnim delegatem: „słowo honoru, że podał mi rękę...“ „i uśmiechnął się...“

Jest przy zbiegu Bagateli i Alei Ujazdowskich ogródek Jordanowski. Bawi się tam moc dzieciaków. Wrzask jest i hałas niemały. Bieganina, i gwizdy, i jakieś komendy, i bijatyka mimo opieki mamuś i nauczycielek. Jest tak dzisiaj i było rok temu, i dwa, i trzy, Ale był czas, kiedy codziennie milkły wrzaski w najwrzaskliwszej gromadzie, — tej, której dowódca, pięcioletni Marek, wiedział, że zbliża się chwila powrotu, chwila codziennej prawie drogi z Inspek-

toratu Armji do Belwederu. I oto na dany znak wszystkie buzie największych ogrodu zabijaków wtulały się między pręty sztachet bramy, która w Ujazdowskie prowadzi Aleje. Cisza. Dziesięć minut, dwadzieścia, pół godziny. I jeszcze. Czekają. Czy przejdzie dzisiaj? Czekają chwili, kiedy będzie można sprężyć się w wojskowym ukłonie. Cześć.

Kiedyś w wielkiem zaufaniu pokazał mi Marek zagryzmolony i wymiętoszony kalendarz. Gdzie niegdzie czerwony krzyżyk: to dnie, w których widział Marszałka przez kraty bramy ogródka Jordanowskiego.

Dziś Marek ma już dziesięć lat. Nad łóżkiem jego tuż obok ryngrafu z Matką Boską Częstochowską wisi portret Marszałka. Co pewien czas zmienia Marek portret, „żeby inaczej patrzał“.

Któregoś roku ci, którzy przygotowywali z najmłodszemi dzieciakami powinszowanie dla Marszałka, wpadli na myśl, by najmłodszego chłopca, — ot, takiego coś trzyletniego szkraba — ubrać w mundur pierwszego pułku szwoleżerów i postawić w sypialni. Żeby, jak się zbudzi... Chłopaczysko stało, jak drut. Marszałek obudził się, wstał, wyszedł do innych dzieci, — a on nic. Ani drgnął. Nie słuchał nikogo, nawet wodza „swego“ pułku. Stał na warcie.

Było ich w domu dwoje. Dziewczynka i chłopiec. Dzieci legjonisty, wychowane opowiadaniami szarej godziny o walkach Wodza i o Jego nieśmiertelnym czynie. Zdarzyło się, że zaszłam do nich w południe, właśnie 19 marca. Przywitały mnie uroczyste miny i ze ścian dziecinnego pokoju przywitał uśmiech Marszałka: znana nam wszystkim dobrze fotografja wychylającego się z pożegnaniem z okien wagonu. „To dzisiejszy prezent od cioci Bronki“. Okazało się, że co roku dzień 19 marca obchodzi się prezentem i... leguminą na obiad, jak mi oznajmiono uroczyście ,zachęcając do pozostania na dłużej.

I jeszcze — z najsmutniejszych dni majowych 1935 roku.

Był 15 maja. Mam małą przyjaciółkę, Zosię, o której nawet w owe smutne imieniny zeszłoroczne zapomnieć nie mogłam. I nie chciałam. Szukałam w myśli, cobym ofiarować jej mogła. I jedno tylko znalazłam: „Wybór pism“. Wprawdzie za trudne i za poważne dla dziesięcioletniej mojej przyjaciółki, ale wytłumaczy mnie data dnia. Nigdy nie zapomnę łez i uśmiechu i cichych, z trudem wykrztuszonych słów: „Nie mogłaś znaleźć... nic...“ To nieskończone zdanie powiedziało mi więcej, niż całe tomy opowiadań o miłości dzieci do Marszałka.

A reszty dopełnił widok uczniów i uczennic, skrzętnie podnoszących gałązki świerkowe, po których przeszła laweta, jadąca ku Mokotowskiemu polu.

Jaka tajemnica tkwi w owem uwielbieniu bez zastrzeżeń, jakiem darzą Go dzieci?

*

W duszy dziecka tkwi tęsknota za wielkością i bohaterstwem. Szczęśliwem możemy nazwać to pokolenie, które urzeczywistnienie ideału i ucieleśnienie tęsknoty znalazło w żywym Człowieku, w Jego czynie, myśli i słowie. Szczęśliwe są dzieci, które nie potrzebowały naturalnych poszukiwać wielkości zaspokajać wyłącznie w lekturze i historji, — dzieci, które w i d z i a ł y.

To zetknięcie z bohaterem w s p ó ł c z e s n y m w najrozmaitszej zresztą formie: fotografji w piśmie, rozmowy z człowiekiem, który Go znał, pod Jego dowództwem walczył, — widok domu, w którym On tak niedawno pracował, — ma kolosalne znaczenie wychowawcze.

Obecnie leży przed nami niesłychanie doniosłe zadanie: utrzymać tę żywotność ideału, nie dać mu przejść tylko i jedynie do historji. Zadanie to może spełnić dom. Nie szkoła. Szkoła bowiem — ze zrozumiałych przyczyn — musi przenieść swoją działalność na grunt w i e d z y o Marszałku, popartej czy rozwijającej się w c z y n; jedynie dom może poruszyć stronę uczuciową, tak bardzo ważną w sferze kultu, jakiem dzieci darzą bohaterstwo. Postawienie owego kultu na właściwej płaszczyźnie może zadecydować o całym późniejszym stosunku dziecka - młodzieńca - człowieka dorosłego do problemu wielkości.

Józef Chałasiński

O TAK ZWANEJ WSPÓŁPRACY DOMU ZE SZKOŁĄ

W rozważaniach na temat współpracy domu ze szkołą nie widzi się zazwyczaj, że chodzi tutaj nie o jedno, lecz o dwa różne, choć ściśle ze sobą wiążące się zagadnienia. Jedno dotyczy wzajemnego stosunku rodziców i nauczycieli; drugie — wzajemnego stosunku młodzieży i nauczycielstwa, oraz dzieci i rodziców, a w szerszej płaszczyźnie — młodzieży i dorosłych. Dom i szkoła są właśnie instytucjami, dla których zróżnicowanie na młodzież i dorosłych czyli społecznie dojrzałych i społecznie niedojrzałych, jest rzeczą istotną. Dlatego też postępowalibyśmy zupełnie niesłusznie sprowadzając zagadnienie w s p ó ł p r a c y d o m u i s z k o ł y do zagadnienia w s p ó ł p r a c y r o d z i c ó w z n a u c z y c i e l s t w e m, jak

to się przeważnie czyni. Tak postępując, uniemożliwiamy sobie zrozumienie istoty zagadnienia, albowiem problem współpracy rodziców z nauczycielstwem występuje właśnie wskutek braku współpracy pomiędzy młodzieżą a nauczycielstwem, oraz pomiędzy dziećmi a rodzicami.

Centralne zagadnienie wychowawcze to zagadnienie współpracy młodzieży z nauczycielstwem, dzieci z rodzicami — młodzieży z dorosłymi wogóle. Gdyby taka współpraca istniała, gdyby stosunek młodzieży do szkoły opierał się na wspólności zainteresowań pomiędzy nauczycielstwem a młodzieżą, oraz na ich współpracy, to zagadnienie współpracy rodziców i nauczycielstwa straciłoby na znaczeniu. Nietylko dlatego, że mając współpracę młodzieży nauczycielstwo przestałoby potrzebować współpracy rodziców, lecz przedewszystkiem dlatego, że ze współpracą młodzieży z nauczycielstwem, rozwinęłaby się bardzo łatwo i sama przez się współpraca rodziców z nauczycielami. Młodzież byłaby wówczas najważniejszym czynnikiem zbliżenia pomiędzy szkołą a domem. Ona przenosiłaby ze szkoły do domu wspólne zainteresowania swoje i nauczycielstwa.

Współczesne zagadnienie współpracy nauczycielstwa z rodzicami pozostaje w związku z faktem, że młodzieży i nauczycielstwa, dzieci i rodziców — młodzieży a dorosłych nie łączą wspólne, realne zadania życiowe i świadomość współpracy dla wspólnego ideału społecznego. Wskutek braku wspólnych zainteresowań życiowych i wspólnych ideałów, pomiędzy wychowywanymi a wychowującymi powstaje coraz głębsza przepaść. Usunięcie tej przepaści, zbliżenie się do młodzieży, a może ujarzmienie wspólnego „wroga“ — młodzieży, oto podstawa przymierza rodziców z nauczycielstwem.

Zagadnienie współpracy domu i szkoły występuje we właściwem świetle dopiero na tle rozwoju i przemian tych instytucyj. Wiadomo, że niegdyś rodzina obywała się bez pomocy szkoły. Dzieci wychowywały się w rodzinie przez współżycie i współpracę z rodzicami, z rodzeństwem i domownikami. Stopniowo wszakże rodzina traciła swoje różne funkcje na rzecz specjalnych instytucyj. Produkcja przeniosła się z warsztatu rodzinnego do fabryki; opieka nad chorymi — przeszła do szpitali; opieka nad starcami — do towarzystw ubezpieczeniowych i przytułków; gościnność — do hoteli, restauracyj i cukierni; rozrywka — do klubów i miejsc rozrywkowych; wychowanie — do szkoły. W rodzinie pozostało już bardzo niewiele sposobności do współpracy rodziców z dziećmi, gdyż ogromna część zainteresowań, tak rodziców, jak i dzieci przeniosła się poza rodzinę.

Dawna forma wychowania przez rodzinne współżycie i współpracę, ustąpiła miejsca szkole, w której niema miejsca na współży-

cie i współpracę wychowywanych i wychowujących. Szkoła przejęła od rodziny nauczająco - wychowujące funkcje rodziców, ale nie przejęła dawnego współżycia rodzinnego i współpracy wychowywanych z wychowującymi, w płaszczyźnie ekonomicznej wytwórczości. Współpracy tej przejąć nie mogła, gdyż rozwój szkoły wiąże się ściśle z procesem odsuwania młodzieży od współpracy z dorosłymi w zakresie ekonomicznym i zbiorowego życia. Ekspansja szkoły na coraz szersze warstwy ludności, niższe i wyższe kategorje wieku, była procesem dzielenia społeczeństwa na dwa odrębne światy: młodzieży i dorosłych. Młodzież to klasa ekonomicznie nieprodukcyjna i niepracująca; dorośli — to świat pracy produkcyjnej i zarobkowej. Inne przywileje społeczne i moralne, i inne wymagania przywiązane są do tych obydwóch klas ludności. Młodzież została odsunięta od wszystkich najważniejszych spraw życia: od produkcji i od życia zbiorowego dorosłych, gdyż życie dorosłych zawiera wiele pierwiastków, przed któremi należy młodzież izolować ze względów wychowawczych. Powstała paradoksalna sytuacja. Trzeba młodzież wychowywać, ale ze względu na dobro jej samej i społeczeństwa nie można z nią współżyć i współpracować w płaszczyźnie najważniejszych problemów.

Szkoła nauczająco - wychowująca, ogołocona z najważniejszych treści współżycia ludzkiego, zaczyna rozumieć, że jej możliwości wychowawcze są bardzo ograniczone. Nauczyciel szuka środków wzmocnienia i rozszerzania swojego wpływu wychowawczego. W podobnem położeniu znajduje się rodzina; rodzice szukają sposobów utrzymania dzieci pod swoim wpływem. W krótkim okresie czasu zmienił się już głęboko ich stosunek do dzieci. Atmosfera koleżeństwa zastępuje coraz wyraźniej surowy rodzicielski nadzór. Podobna zmiana dokonała się i w stosunku nauczycielstwa do młodzieży. Osłabione równocześnie autorytety nauczycieli i rodziców szukają jakgdyby samoobrony we wzajemnem zbliżeniu i zawarciu przymierza.

Przymierze nauczycieli z rodzicami. Przymierze! To już bardzo dużo, jeżeli zważymy, jak zupełnie różne interesy reprezentują rodzice i nauczycielstwo, i jak odmienny jest stosunek tych dwóch klas ludności względem szkoły, i jak liczne są trudności trwałego porozumienia domu i szkoły. Trudno jednak nie zauważyć, że to zbliżenie domu ze szkołą nie postąpiło jeszcze daleko i że zakres współpracy jest bardzo ubogi. Cała obecna współpraca rodziców z nauczycielstwem cierpi na złośliwą anemję. Brak jej świadomości wspólnych zadań i ideałów społecznych. A przedewszystkiem, nie jest to współpraca domu ze szkołą, lecz współpraca rodziców, albo raczej matek, pewnej tylko warstwy społecznej, z nauczycielstwem.

Taki stan rzeczy nie jest winą inicjatorów i entuzjastów ruchu dążącego do współpracy rodziców z nauczycielstwem. Wynika on stąd, że w ramach istniejącego ustroju ekonomiczno-społecznego i społecznej struktury szkoły znikome wprost są możliwości współpracy domu ze szkołą. Na czemże współpraca domu ze szkołą w obecnych warunkach może polegać? Dożywianie dzieci, „wywiadówki", czuwanie rodziców nad pracą szkolną w domu. Co więcej? Może finansowanie niektórych przedsięwzięć szkolnych; a może jeszcze ten lub inny szczegół bez większego znaczenia dla sprawy wychowania młodzieży. Wszystko to razem wzięte, posiada pewne znaczenie społeczne i wychowawcze, ale dotyka peryferyj szkoły, nie zmieniając w niczem istotnem centralnego zagadnienia szkoły — współpracy młodzieży z nauczycielstwem. Dożywianie dzieci, wywiadówki, i inne formy współpracy domu ze szkołą służą ostatecznie celowi, dla którego szkoła istnieje — „lekcji szkolnej". A ta właśnie „lekcja szkolna" odsuwa od współpracy młodzież i dorosłych. „Lekcja szkolna" czyli zajęcie mające tylko szkolny, sztuczny sens, odróżnia szkołę od poważnego życia, od życia opartego na współżyciu i współpracy. „Lekcja szkolna" dzieli młodzież i szkołę; „lekcja szkolna" dzieli rodziców i nauczycieli. I jakaż współpraca może się rozwinąć pomiędzy rodzicami, a nauczycielstwem na gruncie szkoły, dla której „lekcja szkolna" jest naczelnym celem? Czy f i k c y j n a, bez życiowego znaczenia „lekcja szkolna" może być podstawą r e a l n e j współpracy rodziców z nauczycielstwem. Nie powinniśmy łudzić się co do tego. W najlepszym razie, gdyby nam się udało usunąć wzajemne niechęci rodziców i nauczycieli, możemy osiągnąć wspólne pilnowanie rodziców i nauczycieli czy młodzież odrabia lekcje.

Ze współpracą rodziców z nauczycielstwem rzecz ma się bardzo podobnie, jak z samorządem szkolnym. Teoretycznie samorząd szkolny jest idealnym środkiem wychowania obywatelskiego młodzieży. Dlaczego zawodzi w praktyce? Przeważnie dlatego, że w szkole ogołoconej z najważniejszych treści życiowych — młodzież nie ma czem rządzić. Opieka nad kredą, tablicą i krzesłem nauczyciela nie stwarzają realnej podstawy dla rozwoju samorządu. Tak samo współpraca rodziców z nauczycielstwem nie może rozwinąć się, gdyż nie ma realnej podstawy.

Wyobraźmy sobie jednak, że szkoła nie służy „odrabianiu lekcyj", lecz, że jest środowiskiem współpracy młodzieży i dorosłych w zakresie wspólnych realnych problemów życia zbiorowego, a zobaczymy, że współpraca rodziców ze szkołą przyjmie odrazu realne, a nie fikcyjne, formy. Szkoły przeniosłyby się wtedy bliżej warsztatów fabrycznych, a z „wykładami" przychodziłyby nietylko nauczyciel, lecz i rodzice reprezentujący najróżnorodniejsze zawody i pro-

blemy życiowe. Szewc mówiłby o zagadnieniach swojego rzemiosła i o ludziach, którzy z niego żyją. Robotnik — mówiłby o problemach robotnika; dyrektor banku — o roli banków, a literat — o literaturze. Starosta mówiłby młodzieży o trudnościach rządzenia powiatem, a wojskowy — o zagadnieniach obrony. Przypominam sobie, jak gubernator stanu Nowego Yorku, zapoznawał młodzież szkolną, która go odwiedziła w biurze, z problemami i trudnościami swojego stanu. Widzimy, że tak pojęta współpraca rodziców z nauczycielstwem wiąże się ściśle ze współpracą młodzieży z nauczycielstwem i młodzieży z dorosłymi wogóle. Wymaga ona wspólnych, realnych, zadań i wspólnych ideałów społecznych, które młodzież i nauczycielstwo łączyłyby w realnym wysiłku dla ich realizacji.

Może jednak tak pojęta współpraca, niesie pewne niebezpieczeństwo, nietylko dla nauczyciela i biurokracji szkolnej, która przestałaby być monopolistycznym władcą szkoły, lecz i dla świata dorosłych wogóle. Wszak realny obraz społeczeństwa wyniesiony przez młodzież z takiej szkoły, musiałby młodzież przekonać o zupełnem bankructwie świata rządzonego przez dorosłych. Może więc lepiej pozostawić szkołę taką, jaką jest. Niech młodzież „odrabia swoje lekcje“

Wiktorja Hesslórona

REFLEKSJE WYCHOWAWCZE NAD WSPOMNIENIAMI Z DZIECIŃSTWA

Jeżeli zastanowimy się nad wspomnieniami z dzieciństwa, to dojdziemy do przekonania, że przedewszystkiem niełatwo je odtworzyć w całości. Poprzez szeregi lat zatarły się ich odcienie, a pozostały tylko pewne zarysy.

Te pozostałości jednak tkwią w nas głęboko i silnie tak, że często wywołują na usta dorosłego człowieka dziecinny uśmiech, lub dziecinne, bolesne łzy w oczach. Jakie musiały być ongiś silne wrażenia, jeżeli wspomnienia o nich wywołują takie objawy. Mimo wielu ubiegłych lat i późniejszych przeżyć żyją w nas te wspomnienia z dziecinnych lat i pójdą razem z nami do grobu.

Wywarły niezatarty wpływ na naszą teraźniejszość, na to czem jesteśmy i jak radzimy sobie w życiu. Zwłaszcza bezpośredni wpływ wywierają na wychowywanie dzieci przez samych rodziców, ponieważ te wspomnienia w znacznej mierze odnoszą się do postępowania rodziców z dziećmi, do ich oddziaływań wychowawczych.

I tymto wspomnieniom, dotyczącym oddziaływań wychowawczych, poświęcimy niniejsze rozważania. Rozpatrzymy rodzaje tych wspomnień i wpływy, jakie wywierają na teraźniejsze wychowywanie dzieci.

Dla przykładu i zobrazowania podam niektóre wyjątki z zebranych wypowiedzi i zapisów, odnoszących się do wymienionych wspomnień.

„Najlepiej czułam się w domu, opowiada trzydziesto czteroletnia pani... Byłam zawsze bardzo nerwowa i wrażliwa, bałam się obcych, a w domu czułam się bezpiecznie. Bardzo kochałam rodziców, jednak zawsze istniał pewien dystans między nimi a dziećmi. Matka była bardzo wymagająca w stosunku do nas, nie rozpieszczała nas nigdy ale często wyszukiwała jakieś gry i zabawy, któremi bawiła się razem z nami. Ojciec onieśmielał mnie trochę, ale jakże ceniłam sobie jego pochwałę... Rodzice żyli w wielkiej zgodzie ze sobą. Uważam, że tak należy chować dzieci, jak ja byłam chowana".

Przytoczone wspomnienie zaliczymy do kategorji wspomnień dodatnich, jednak i to wspomnienie, jak i inne, poddamy analizie krytycznej. Częściej niestety spotykamy się ze wspomnieniami ujemnemi, z żalami i z krytyką postępowania rodziców.

„U nas w domu było dużo dzieci, opowiada matka czteroletniej dziewczynki, lat około trzydziestu sześciu. Ojciec był bardzo surowy i despotyczny, wszyscy musieli ulegać jego woli. Nie było mowy o żadnym sprzeciwie..."

Tutaj już przejawia się krytyka, która wyraźnie ujawnia się w następujących wspomnieniach trzydziesto ośmioletniego mężczyzny.

„Gdyby mi kto wtedy rękę podał, gdyby był ktoś, któryby potrafił odsunąć te na pierwszem miejscu wykazane ujemne wpływy, byłbym może w naukach poszedł wówczas o wiele dalej i lepiej...

Ach, gdyby wtedy był ktoś, któryby tego chłopczynę ujął serdecznie za rękę i poprowadził chociażby przez te najniebezpieczniejsze lata, byłbym uratowany...

Ale ojciec nami się nie zajmował absolutnie, bo nie chciał, czy nie mógł. Cały ciężar kłopotów domowych i nie domowych spoczywał na barkach biednej mamy... Przecież ojciec nigdy do mnie nie przemówił serdecznie..."

W tych ostatnich wspomnieniach przejawia się już nietylko krytyka postępowania rodziców, ale i żal, że nie odegrali w życiu dziecka roli takiej, jakiej ono w naturalny sposób od nich wymagało. Nie okazali mu pomocy wtedy, kiedy jej oczekiwało w odczuciu własnej słabości i bezradności wobec życia.

Żal do rodziców mimo miłości, którą odczuwały dzieci a obecnie dorośli ludzie, przeplata często wspomnienia z dzieciństwa. Występuje w nich żądanie pomocy, bezwzględnego zrozumienia dziecka i jego intencji, nawet wtedy, gdy te są niejasne dla niego samego. Dziecko nie zna życia i jego praw, nie zna praw swojego własnego rozwoju. Tej znajomości oczekuje od rodziców, oczekuje pomocy a także często lepszego mniemania o sobie, niż samo je posiada. Dobrego mniemania o własnych siłach moralnych, wiary rodziców w jego szlachetność, ażeby na niej, jak na dźwigni podnieść się w chwilach zwątpienia i upadku.

Potem już w dalszych latach życia dorośli rozumieją, że nie zawsze rodzice mogli im służyć pomocą i poradą, nie zawsze mogli, bo nie umieli. Przebaczają im może te niespełnione obowiązki i zawiedzione nadzieje, ale jako dzieci czuli żal z powodu nich i gorycz tego żalu została na zawsze.

Czy jednak jako dorośli ludzie, gdy z kolei sami zostają rodzicami, potrafią należycie wykorzystać te swoje własne przeżycia z dzieciństwa, o których pamiętają i które często krytycznie oceniają. W jaki sposób te wspomnienia wpływają na ich własne postępowanie wychowawcze?

Istnieją ludzie już przez naturę obdarzeni talentem wychowawczym, urodzeni pedagogowie, tak jak bywają urodzeni artyści.

Ci ludzie potrafią odpowiednio wykorzystać swoje wspomnienia, jako najlepszy bo bezpośredni materjał doświadczalny i oceniając go krytycznie, potrafią wydobyć z niego właściwe korzyści. Jednak tych urodzonych wychowawców jest stosunkowo nie wielu i nie zawsze oni przeznaczeni zostali losem do wychowywania dzieci. Inni zaś i to przedstawiający przeważającą większość nie umieją wykorzystać tego kapitału własnych wspomnień. Postawieni przez los wobec konieczności wychowywania własnych dzieci, w wielu wypadkach przypominają sobie własne dzieciństwo, i do tych wspomnień dostosowują swoje własne obecne postępowanie, często niestety czynią to zupełnie niewłaściwie. Bywa tak, że rodzice jakby zasugerowani popełniają te same błędy wychowawcze, które ongiś popełniano z nimi i które dawniej krytykowali.

Jak często bowiem słyszy się, że rodzice swoje zbyt surowe postępowanie z dziećmi motywują tem, że i z nimi nie lepiej postępowano, gdy byli dziećmi. „Mnie nic nie wolno było... mój ojciec karał surowo dzieci, bił za najmniejsze przewiny...“ I tem podobne zdania.

Idąc za jakimś bezmyślnym nawykiem, który utorował sobie twardą drogę w niegdyś wrażliwem sercu dziecka, naśladują postępowanie, które wryło się w ich pamięć niemal tragicznie.

Dość często bywa także zupełnie przeciwnie. Rodzice wpadają w jakąś krańcową negację i chcą usunąć z wychowywania dzieci wszystko to, co pozostało w ich pamięci z ich własnego wychowania.

Sami wychowywani surowo lub bezwzględnie, zbytnio rozpieszczają swoje dzieci, pozwalają im na wrastanie w egoistyczną samowolę. Usuwają z ich drogi wszystkie przeszkody i wychowują istoty niedołężne lub egoistyczne.

„Być może, że chowam go źle, mówi matka dziesięcioletniego chłopca, ale niech ma przynajmniej miłe wspomnienia z domu rodzinnego, kiedy mu będzie źle w życiu wśród obcych. Niech nie wspomina tak przykro tego domu jak ja...“

Lub inny przykład. Ojciec chowany ongiś w przesadnej, prawie że dręczącej atmosferze bigoterji, chowa swojego syna zupełnie areligijnie.

Pragnienie zaprzeczenia swoim własnym wspomnieniom, przekreślenia ich niemal jest tak wielkie, że zasłania wszystko inne, nawet prosty i zdrowy rozsądek życiowy.

Czasami rodzice popadają jeszcze w inną przesadę. W wyobraźni ich wskutek własnych niespełnionych pragnień i marzeń dziecięcych powstaje jakiś idealny obraz dziecka. Wyobrażają sobie, że takim ideałem oni sami mogliby zostać, gdyby im na to warunki życiowe pozwoliły, gdyby rodzice z nimi umiejętnie postępowali. Teraz posiadając swoje własne dzieci, chcą w nich odnaleźć ten wymarzony obraz w sobie. Oni przecież dołożą wszelkich starań i sił, ażeby ich dzieci zostały temi wymarzonemi ideałami. Czujnie i niemal ze ściśniętem sercem patrzą na swoje dzieci, śledzą ich rozwój. Jeżeli zaś okaże się, że te ich dzieci błądzą tak jak inne i dalekie są od ideału, rodzice popadają w przesadną rozpacz i odsądzają je już od wszelkich zalet, a w razie jakiejś przewiny pierwsi rezygnują z możliwości ich poprawy. Czują się zawiedzeni w nadziejach i w swojej miłości.

Czy można zatem w wychowywaniu dzieci poprzestać na własnych wspomnieniach z dzieciństwa i kierować się tylko niemi? Czy nie należałoby wykorzystać je raczej tylko jako doświadczenie, które może być przydatne dopiero po umiejętnej analizie i krytyce.

Nawet ten pierwszy przykład dodatnich wspomnień, których autorka powiada, że chowałaby swoje dzieci tak jak ona była chowana, po zastanowieniu budzi wiele zastrzeżeń i wątpliwości co do tego, czy możnaby się z nią zgodzić całkowicie. Skąd bowiem wiadomo, jakie będą te jej dzieci? Czy byłyby równie wrażliwe i nerwowe tak jak ona i czy wystarczałaby im cicha atmosfera domu, w której czułyby się najlepiej w obawie przed światem? Czy też może usposobienie żywe i odmienny temperament życiowy nie gnałby je w świat

do życia i ludzi? Lub czy oboje rodzice będą i w tym wypadku żyli w tak wielkiej harmonji ze sobą, że znowu stworzą idealne warunki wychowania w rodzinie?

Zamiast poprzestać w wychowywaniu dzieci na własnych nawet dodatnich wspomnieniach i z nich czerpać odnośne doświadczenia życiowe, lepiej jest zwrócić się po nie do wartościowych doświadczeń zawartych w nauce o dziecku, o jego zainteresowaniach, o właściwościach jego rozwoju, o wpływie, jaki wywiera na nie środowisko, szkoła i towarzysze.

Nauka o dziecku posiada obecnie już dosyć dużą literaturę, opartą na wielu badaniach i obserwacjach, które pozwalają na wzbogacenie jednostkowego doświadczenia wieloma doświadczeniami ludzi, naukowo do tego przygotowanych. Należy rozszerzyć swój własny horyzont myślowy i rozsądnie spojrzeć na swoje dziecko, należy starać się je poznać takiem, jakie jest w swej odrębnej istocie, a nie poprzez pryzmat naszych wyobrażeń, poprzez zbytni krytycyzm lub poprzez zasłonę wymarzonej iluzji.

Wspomnienia z własnego dzieciństwa nie powinny rodzicom zaciemniać bezpośredniego indywidualnego obrazu dziecka, jako nowego człowieka.

Do najsmutniejszych refleksyj życiowych należą chyba te, które słyszy się od starych ludzi, że gdyby jeszcze raz żyli na nowo, to już inaczej chowaliby swoje dzieci. „Bo człowiek uczy się przez całe życie, ale nauczy się nieraz zapóźno...“

Jadwiga Kiernarska

O SZACUNKU DLA DZIECKA

W ostatnim moim artykule usiłowałem rozprawić się z kultem przesadnego szacunku dla starszych; w obecnym — zamierzam domagać się szacunku dla najmłodszych. Paradoks? — Nie — chęć zwrócenia uwagi na sprawy o nader doniosłem, pedagogicznem znaczeniu.

Wszyscy rodzice kochają dzieci. No... niemal wszyscy.

Natomiast tylko bardzo nieliczni u m i e j ą kochać dzieci, rozumieją j a k je kochać należy. Naogół nie bagatelizuje się i nie lekceważy niczego z dziedziny fizycznego zdrowia dziecka. Kwestja djety, dożywiania, zastrzyków, wybór letniska — są omawiane aż nadto drobiazgowo i serjo. Nieraz lekkie niedyspozycje jak katar, przejściowy rozstrój żołądka, czy nawet zwykły brak apetytu rozrastają się w przeczulonych sercach matek do rozmiarów kosmicznej katastrofy.

Za to w dziedzinie psychicznej... Wszystkie pytania smarkaczy uważa się z reguły za uroczo głupiutkie, albo bezczelne (w zależności od stanu nerwów zapytywanych dorosłych). O jednych opowiada się krewnym i przyjaciołom (czasem nawet w obecności dziecka) z uśmiechniętem rozczuleniem, o drugich z irytacją; oba rodzaje zbywa się krótkiem: — nie zadawaj głupich pytań — albo: zrozumiesz kiedy będziesz starszy.

Otóż, proszę państwa, ten tak ogólnie przyjęty system jest wręcz fatalny i w najwyższym stopniu karygodny — nie wolno z dziecka robić małpeczki ku uciesze zgromadzenia ani lekceważyć jego budzących się zainteresowań i refleksyj.

Kara bywa doraźna i dotkliwa; jest nią odebranie zaufania rodzicom i ofiarowanie bezcennego daru tym co zechcą po niego sięgnąć. Kolegom, wychowawcom (w najlepszym wypadku), służbie (w najgorszym).

Poniewczasie następuje żal i „zębów zgrzytanie", że dziecko jest niedobre, harde, nieusłuchane; że każdy może mieć na nie wpływ, tylko nie właśni rodzice. Dzieje się tak i nierzadko wcale. Tylko zamiast się skarżyć należy poszukać przyczyny niepożądanego zjawiska. Najczęściej okazuje się, żeśmy sami zawinili nie zważając na naiwne zwierzenia i nieudolnie sformułowane wątpliwości, albo, co gorsza — ośmieszając je publicznie.

Jedna jest tylko miłość wrodzona, naturalna — miłość rodziców do dzieci. Każdą inną trzeba mozolnie zdobywać, osobiście na nią zasłużyć. Walka o uczucie dziecka, o wpływ na jego wrażliwą, kapryśną i zmienną psychikę jest sprawą niezmiernie złożoną i trudną. A przecież chyba się opłaca?...

To nie dosyć m i e ć dzieci; musimy je sobie zdobywać codzień od nowa. Z niemi dziecinnieć i dorastać; bacząc by nie przesadzić ani w schylaniu się do dziecięcego poziomu, ani w zbyt śmiałem wyprzedzaniu naturalnego rozwoju. I nigdy w niczem nie urazić; nie spłoszyć wzrastającego zaufania.

Pytania dzieci, często zabawne, jeszcze częściej bywają nieznośne. Wtrącanie się do rozmowy starszych — czasem nie do zniesienia. Coś usłyszano, czegoś nie zrozumiano, jeszcze coś przekręcono... i takim myślowym bigosem, częstuje się rodziców. Niełatwo bywa dorozumieć się o co smarkaczowi chodzi. Nie łatwo, a przecież — trzeba.

Bo ostatecznie kto ma posiadać sztukę logicznego, jasnego myślenia? Dorośli czy mali? Więc na chaotyczne, pozornie absurdalne pytania najmłodszych — dorośli powinni odpowiadać serją pytań metodycznych i dorzecznych: — Skąd to wiesz? Kto ci o tem mówił? Dlaczego ci się tak zdaje? A jak ty sam postąpiłbyś w podobnym wypadku?

To wszystko oczywiście bez cienia irytacji, głosem opanowanym, bez śladu zniecierpliwienia czy ironji, nawet — pobłażliwej. Największym triumfem sokratycznej metody będzie podsunięcie drogą pytań właściwego rozstrzygnięcia dylematu. Nie uda się to z pewnością za każdym razem, ale jeżeli osiągniemy tylko życzliwy nastrój wspólnego rozważania rozmaitych aspektów pasjonującego zagadnienia — będzie to już bardzo dobrze i bardzo wiele.

Nie należy nigdy przecinać dyskusji autoratywnem twierdzeniem czy zaprzeczeniem, bez podania motywów. Duch młodości jest duchem buntu. Sprzeciw chwilowo stłumiony, wybucha tem silniej przy najbliższej sposobności. A gdyby nawet, drogą systematycznych presyj, udało nam się wszelki sprzeciw wyplenić — osiągnęlibyśmy rezultat najsmutniejszy i najmniej pożądany — pokorne i zastrachane lenistwo myśli, absolutną niezdolność do decyzyj niezależnych i samorzutnych. Nikt świadomie nie zgodziłby się na wyrządzenie swoim dzieciom tak wielkiej krzywdy (równej psychicznemu kalectwu); a przecie niektórzy rodzice powodują ją przez stosowanie t. zw. „żelaznej dyscypliny".

Młodzież ma wrodzone poczucie sprawiedliwości. Dowodem — chociażby masowe (na szczęście nieudane) ucieczki „do wojska abisyńskiego". W zabawie w wojnę nikt się dobrowolnie nie zgadza na rolę Włocha, chociaż Włosi mają piękne mundury, fascynującą jak sensacyjna powieść historję, malowniczy kraj (spopularyzowany przez film i widokówki), atrakcyjne organizacje dzieci i młodzieży oraz tak efektownego wodza jak Benito Mussolini. Mnogie te powaby nie są w stanie przeważyć w wyobraźni najmłodszych odruchowej sympatji dla niesłusznie skrzywdzonych.

Ten dowód równowagi etycznej u nadchodzącego pokolenia jest objawem wielce pocieszającym — pozwala z ufnością spoglądać w przyszłość. Równocześnie zmusza nas do zdwojonej czujności i surowości wobec samych siebie, w obawie najdotkliwszego na świecie osądu własnych dzieci.

Sąd ten nieraz bywa bezwzględny. Nie łudźmy się: dzieci mają wrodzone poczucie sprawiedliwości, ale rzadko bywają sprawiedliwe. To znaczy, że wyczuwają niemal nieomylnie po czyjej stronie jest słuszność, ale wiedzą o życiu i jego poplątanych ścieżkach zbyt mało, by mogły do winy przykładać właściwą miarę i wagę, należycie uwzględniać okoliczności łagodzące.

W nowoczesnych zakładach wychowawczych, gdzie próbowano stosować system sądów koleżeńskich — przekonano się, że kary z wyroku kolegów były o wiele surowsze niż te, które za te same „przestępstwa" wyznaczali nauczyciele; nierzadko — graniczące z okrucieństwem. Młodość nie zna półtonów ani półśrodków.

Racjonalnem wykorzystaniem zdobytego przez rodziców wpływu byłoby łagodzenie młodocianej ostrości sądu, skłanianie do brania pod uwagę okoliczności i motywów, zwracanie uwagi na złożoność i różnorodność życia, przestrzeganie przed zbytnią schematyzacją i upraszczaniem etycznego stanowiska.

Niezmiernie ważnym czynnikiem pedagogicznym jest osiągnięcie przez rodziców jednolitej postawy wobec rodziny i świata zewnętrznego, wystrzeganie się zakłamań wystawiających dziecięcą ufność i wrażliwość na zbyt bolesne próby.

W przykrej a bardzo (niestety) głośnej książce Zegadłowicza „Zmory" jest rozdział, szczególnie dla mnie obrzydliwy, choć wyjątkowo wolny od drastycznych opisów i wyrażeń, w jakie obfituje ów dziwny utwór.

— Ojciec mówi małemu synkowi, że „djabłów niema". Syn, bardzo rodzica kochający, z przekonaniem powtarza ojcowskie słowa w szkole. Dostaje zły stopień z religji i w domu — wnyki od ciotki-wychowawczyni. Przy familijnej konfrontacji papa-myśliciel oznajmia że sam syna ukarze, ale uczyni to w cztery oczy. W rozmowie sam na sam, wygłasza nader mętne (czy to ma być kara?) przemówienie o niedoskonałości panującego ustroju, ale nie tłómaczy małemu, dlaczego go naraził na tak niemiłe doświadczenia, ani nie bierze go w obronę wobec ciotki-megery.

Ta scena, przez pewien odłam krytyki (z niepojętych przyczyn) uważana za budującą i wzniosłą — napełnia mnie głębokim wstrętem i może być cytowana jako wyrazisty przykład tchórzliwego zakłamania ludzi niezdolnych do przyjęcia odpowiedzialności za własne słowa, a nie liczących się z wrażeniem jakie nieprzemyślane odezwanie może wywrzeć na kształtującej się psychice dziecka.

Szacunek dla dziecka to nie znaczy uroczyście napuszony, „namaszczony" ton rozmowy ani demonstracyjne „świecenie przykładem" (dzieci mają bardzo rozwinięty zmysł humoru, instynktownie wyczuwają fałsz i nie znoszą moralizatorstwa).

Szacunek dla dziecka to surowa i nieustanna samokontrola i poważna a czujna uwaga wobec kształtującego się pod naszą opieką i odpowiedzialnością istnienia.

DZIECKO I ŚRODOWISKO

W tym dziale będziemy zamieszczali artykuły, dotyczące wpływu środowiska na dziecko w najszerszym zakresie, uwzględniając warunki w poszczególnych dzielnicach Polski.

Artykuł poniższy nadesłano z Górnego Śląska.

Redakcja

Dno piekła w środowisku proletarjackiem

Obraz warunków materjalnych, w jakich żyje dziś proletarjat, oddaje najlepiej bodaj przysłowie: „Do użycia zamało, do śmierci zawiele”. Redukcje, powodujące bezrobocie, turnusy, świętówki, wreszcie kompletne zamykanie warsztatów pracy — oto zjawiska, które muszą wywrzeć pewien wpływ na życie zarówno poszczególnych jednostek, jak i na grupę społeczną, żyjącą w danem środowisku.

Proletarjat od kilku lat ubożeje coraz bardziej. Zdarły się ubrania, buty, bielizna, wyczerpały się „węzełkowe” oszczędności, przybyło natomiast dzieci, które trzeba przyodziać, nakarmić.

Rozpiętość między ubytkiem i przybytkiem stwarza bilans współżycia naprawdę okropny. Zarówno w dziedzinie materjalnej jak i duchowej obserwujemy z dnia na dzień niesłychane rozluźnienie więzów rodzinnych i społecznych.

Chciałbym dziś w kilkunastu wierszach oświetlić genezę dna piekła w tem środowisku, t. j. zagadnienie nieodpowiedniego stosunku młodych do starych, dorastających dzieci do swych rodziców.

Jak wiadomo młodzież proletarjacka dojrzewa daleko wcześniej zarówno pod względem fizycznym jak i umysłowym. Dojrzałość ta nie jest naturalna, składają się na nią przyczyny natury zarówno materjalnej jak i duchowej. Na skutek niedostatecznych zarobków rodziców zmuszona jest szukać środków do życia na własną rękę. Gdyby te środki wogóle istniały, gdyby praca syna harmonizowała z pracą ojca, gdyby wzajemnie się uzupełniali w ponoszeniu ciężarów na rzecz rodziny, byłoby wszystko w możliwym porządku. Brak jednak warsztatów pracy pcha młodzież na drogę zarobku przez popełnianie przestępstw najrozmaitszego rodzaju, co nie zawsze odpowiada usposobieniu rodziców. W zetknięciu się dwóch światopoglądów następuje konflikt natury moralnej, pociągający za sobą cały szereg następstw, jak: rozpusta, brak posłuchu, opuszczanie domu rodzicielskiego, kradzieże, jednem słowem życie na własną rękę młodych.

Niechaj do tego dołączy się konflikt miłosny syna, chęć ożenku, podsycana przez stronę atakującą (t. j. kobietę), dopełnia się miara rozprzężenia więzów między ojcem a synem.

Syn znajduje miejsce schronienia oraz opiekę u przyszłych teściów, ojciec stara się go od jego zamiarów odciągnąć, a rezultat pozytywny tej walki przechyla się raz na jedną, inny raz na drugą stronę, zależnie od siły fizycznej (prawo pięści).

Nędza materjalna w rodzinie, opuszczenie domu przez jednego a czasem przez 2 i 3-ch synów, względnie córki stawia zarówno rodziców jak i resztę

rodzeństwa w sytuacji bardzo przykrej, jeżeli nie opłakanej. O ile ojciec jeszcze coś zarabia, życie wlecze się jeszcze znośnie, gorzej, gdy ojciec zostaje zredukowany. Wówczas węzły materjalne rozsadzają węzły moralne. Matka albo udaje się na ulicę wraz z córkami i oczekuje na rogatce „okazji", ojciec zaś przeklina swą starość, synowie również zdala od domu złorzeczą, że wogóle na świat przyszli.

W dużej mierze na stan ten wpływa brak opieki nad dzieckiem w okresie chłopięcym, a następnie w okresie dojrzewania. Oddane ulicy, przejmuje atmosferę i prawa rządzące ulicą, przenika ich etyką i postępuje stosownie do zasłyszanych „zasad", opierających się na buncie przeciwko „starym niedołęgom".

Są jednak wypadki, że syn względnie córka wraca do domu ściągnięta jakiemiś nadludzkiemi wysiłkami ojca, który nie może mimo wszystko przeboleć rozłąki. Wówczas piekło otwiera dalsze swoje podwoje. Syn, dumny ze siebie, napuszony, uważa się za pana domu, któremu „ojciec nie mógł dać rady bez jego pomocy", przemienia się stopniowo w instytucję rozkazodawczą, rządzi wszystkiem, boć i on „wnosi do dorobku materjalnego rodziny swoje trzy grosze". Ojciec schodzi na plan drugi, matka również, rządzą młodzi, boć oni są obecnie filarami rodziny.

Częste kłótnie, bijatyki, w których syn rzuca się na ojca z siekierą, córka na matkę rzuca sprzętami kuchennemi, czynią okres starości rodziców okresem powolnego dogorywania.

Nie zawsze rozprzężeniu rodziny towarzyszy wina młodych. W wielu wypadkach da się zauważyć bardzo nieodpowiednie ustosunkowanie się właśnie rodziców do swych dzieci, szczególniej w wypadkach, gdy te nie chcą zbyt wcześnie „poddać się rygorowi milczenia". Polegać ma ono, zdaniem rodziców, na tem, że skoro syn, mając lat 15 względnie 16-e nie może czy nie chce pracować zarobkowo, nie ma on też nic do gadania w domu. Powinien siedzieć, jak u Pana Boga za piecem, w przeciwnym bowiem razie ściąga na siebie gniew ojca, rzadziej matki.

Są i tacy ojcowie, którzy uważają, że dziecko 12, 13, 14 względnie 15-letnie powinno pracować i odciążać w świadczeniach materjalnych swego ojca. Rzeczywistość jednak zadaje kłam ich twierdzeniu, albowiem, skąd mają wziąć pracy młodzi, skoro nie starcza jej dla starych? Niedawno byłem świadkiem tragicznej sceny, w której ojciec czyniący wyrzuty synowi, że ten nie idzie i nie stara się o jakąś stałą pracę, usłyszał z ust syna odpowiedź: — Idźcie i postarajcie się, wtedy pójdę do pracy. Ta napozór niewinna odpowiedź, była przyczyną tragicznego wypadku. Ojciec chwycił za siekierę, uderzył nią syna dwukrotnie w głowę, a gdy ten upadł zbroczony krwią na ziemię, ojciec upadł obok niego, zalał się łzami i krzyknął: — Żeby raz szlag trafił tych pierońskich kapitalistów!

Protest wewnętrzny ojca i jego krzyk miał na celu usprawiedliwienie do pewnego stopnia swego kazirodczego występku.

Nic dziwnego, że właśnie takie dzieci, karmione przez rodziców nie piersią własnej pracy, ale gorzkim piołunem obelg, wyzwisk i przekleństw; dzieci, którym ojcowie wymachują pod nosem siekierą, zdobywszy samodzielną pracę znikają z domu, nie chcąc więcej słyszeć o nim.

Wypadkami powyższemi nie wartoby się zbytnio przejmować, gdyby... były właśnie wypadkami. Twierdzę jednak, że grasowanie ich nagminne upoważnia nas do stwierdzenia ciężkiej choroby społecznej i rodzinnej, na którą znaleźć się musi lekarstwo.

Bliższa analiza tego rodzaju stosunków napewno wyjaśni nam niejedno tło przestępstwa młodocianych: seksualizm, przestępstwa kryminalne, polityczne i społeczne.

Gdzie leży poprawa czy naprawa tych stosunków? Zdaniem mem w poprawie warunków materjalnych bytu proletarjatu, a dopóki to nie nastąpi w doraźnej akcji profilaktycznej.

Wszak drzewo, które zaczyna toczyć rak, z miejsca staje się przedmiotem zabiegów ogrodnika, mających na celu usunięcie choroby. Choroby rodzinne przechodzą mimo oczu społeczeństwa i Państwa. O ile takie choroby przejdą drogą dziedziczenia z pokolenia w pokolenie, to można już dziś z pewnem przybliżeniem orzec, iż rak stoczy pewne sfery proletarjackie i zniszczy je zupełnie, inne zaś zdegeneruje, uczyni niezdolnemi do życia w społeczeństwie i Państwie.

Wyobrażam sobie, że w tych wypadkach powinny działać jakieś stacje zapobiegawcze, jakieś towarzystwa dobroczynne, wspierane przez instytucje samorządowe (a może we własnym interesie i przez policję). Zadaniem tych „stacyj" winna być praca badawcza środowisk rodzinnych, a w wypadku stwierdzenia nienormalnych stosunków obrona zarówno rodziców jak i dzieci. Do tego potrzeba oczywiście i pewnych podstaw prawnych, materjalnych. Ale na te rzeczy pieniądze znaleźć się muszą. O ile nie zdobędziemy się na wysiłek profilaktyczny, opłacimy ten brak kilkakrotnie drożej w postaci więzień zarówno dla młodocianych przestępców jak i dla dorosłych.

Nie wiem, co byłoby lepsze, czy powiększenie i zreorganizowanie Ochotniczych Drużyn Pracy na Przymusowe Obozy Pracy, czy też tolerowanie takich niepożądanych dla społeczeństwa i Państwa stosunków, jakie szkicowo tu przedstawiłem. Gdyby zaistniały właśnie Przymusowe Obozy Pracy, któreby wynagradzały za pewne prace, choćby 1 zł. dziennie, któreby rodzinie zarażonej chorobą rozprzężenia węzłów rodzinnych odbierały dziecko i oddawały pod opiekę P. O. P., wówczas napewno i ilość wypadków walki wręcz synów z ojcami i natężenie ich musiałoby osłabnąć.

Jakkolwiekbądź zostanie ta kwestja rozwiązana (a rozwiązana jak najwcześniej być musi), jedno jest pewne: środowisko proletarjackie zmieni wybitnie swe awanturnicze oblicze. Przejście wieczorem przez ulice środowiska proletarjackiego, nie będzie dla normalnego obywatela męką, podsycaną ustawicznym strachem, ale zamieni się ono w środowisko naprawdę kulturalne i społeczne.

Zygmunt Gryń

ARTYKUŁY DYSKUSYJNE

W sprawie ocen i... nie tylko ocen

Pani S. M. w artykule dyskusyjnym „Oceny pracy ucznia" [1]) poruszyła niesłychanie ważną w życiu szkoły i domu sprawę. Ale poruszyła ją jednostronnie, nie chcąc dotrzeć do głębi. „Za wysiłek dziecka należy się bezpośrednia nagroda"... (str. 85). Zdanie to, jak i dwa następne, są prawdą, przez psychologów stwierdzoną. Ale już dalsze dowodzenia autorki artykułu, dowodzenia, mające charakter wniosku, niekoniecznie wydają mi się słuszne.

---

[1]) „Rodzina i Dziecko", Nr. 3, str. 85—88.

Musimy przecież stwierdzić, że ów *stopień*, który p. S. M. kwalifikuje, jako realizację naturalnego pragnienia dziecka, jest rzeczą narzuconą przez dom. To dom, to rodzice pragną stopni, nie zaś dziecko. To żądanie rodziców jest zupełnie zrozumiałe i naturalne, o ile nie jest zbyt jednostronne, o czem niżej. Tymczasem chodzi mi o to, abyśmy nie sugerowali dziecku naszych własnych myśli.

Sprobuję dowieść słuszności mego twierdzenia. Dziecko przychodzi do szkoły „nastawione" na „piątki" i „dwójki' (charakterystyczne, że nie mówi mu się o „czwórkach" ani „trójkach"); wyobraża sobie szkołę, rozdającą hojną dłonią owe stopnie („jak będziesz niegrzeczny, dostaniesz dwójkę"). Dwójki w owych obietnicach rodzicielskich stoją na tym samym poziomie metod wychowawczych, co słynny „policjant" i „kominiarz". I cóż dzieje się dalej: oto szkoła odzwyczaja dziecko od pracy na stopnie. Bo i jakżeż ocenić fakt, że prace nadobowiązkowe, przy których niema mowy o żadnych stopniach, są wykonywane z największym zapałem? A „klasówka" pisana „nie na stopnie" jest opracowana zawsze z większą starannością, pisana w równowadze psychicznej i wypada znacznie lepiej, niż inna — oceniana stopniami.

Nie jestem przeciwniczką ocen. Są one konieczne z wielu względów. Dyskutowałabym jedynie, w jakiej mają być formie. Wystarczyłyby mi dwie oceny: dostateczna i niedostateczna, — przynajmniej wystarczyłyby dla tych celów, dla których według mnie istnieją: ułatwianie kwalifikacyj do następnej klasy i uwiadamianie rodziców o nauce dzieci. „Nagradzanie" dzieci za ich pracę może i powinno mieć inne formy.

A teraz druga — równie ważna, jeżeli nie ważniejsza — sprawa: sprawiedliwość nauczycieli. Oczywiście, są nauczyciele „niesprawiedliwi" i „sprawiedliwi", jak wszędzie i zawsze są ludzie „źli" i „dobrzy". Nie o to mi chodzi, bo to jest poza granicami dyskusji. Chodzi mi o legendę, jaka się tworzy dokoła „niesprawiedliwości' nauczycielstwa, — o legendę, podtrzymywaną i kultywowaną przez dom. I to zagadnienie stoi w ścisłym związku z jednostronnem traktowaniem stopni przez opiekę domową. Nie o to chodzi, czy stopień odpowiada rzeczywistym wiadomościom i umiejętnościom dziecka, — lecz o to, by był dobry. Dowód: żadna szkoła nie notowała w swoich rocznikach faktu reklamacyj rodzicielskich z powodu zbyt dobrej oceny. A przecież owa osławiona niesprawiedlilwość nauczycieli musiała się i tu takiego gdzieś, kiedyś dopuścić błędu? Czyżby to miała być niesprawiedliwość in minus? tylko i jedynie? Miałaby wtedy wszelkie cechy sadyzmu! Nie zdarza się, aby na wywiadówkę przyszedł ktoś z opieki domowej dziecka, mającego dobre oceny. Czyżby o tych dzieciach nie trzeba było porozumiewać się ze szkołą?

I ostatni dowód tego, że dom reaguje tylko na oceny niedostateczne: w jednej ze szkół zdarzyła się klasa, w której było 50% uczenic bardzo nieporządnych; zeszyty brudne, pismo niestaranne, książki zatłuszczone. Nastąpiły uwagi ustne, potem pisane w dziennikach korespondencyjnych. Cisza. A przecież to dom może pomóc w danym wypadku szkole — i dom właśnie — bardziej, niż szkoła — powinien być zainteresowany porządkiem córki (przyszła żona, matka, gospodyni etc). A tu cisza; milczenie. Wobec tego niektórzy nauczyciele biorą się na sposób: wykorzystują strach domu przed dwójką. Dwójka z przedmiotu za porządek. Rezultat: zeszyty zmieniają szatę zewnętrzną — niemal z dnia na dzień. Że to była reakcja domu, nie dzieci, dowodzą poprzednie bezskuteczne uwagi w dzienniczkach.

I jeszcze jedno. Proszę mi wierzyć, że lekcja w nowoczesnej *dobrej* szkole nie wygląda tak, jak to opisała p. S. M. na str. 87. Dzieci — nawet najbierniejsze i najmniej śmiałe — mają możność wypowiadać się i mają możność pracować. Różnica między *dziś* i *wczoraj* jest ta, że dawniej uczeń „odpowiadał" cztery razy na rok (w najlepszym razie) po (powiedzmy) 15 minut, co czyni 1 godzinę (maximum), — obecnie mówi przynajmniej co drugą lekcję (nawet w licznych klasach) po (powiedzmy) 2 minuty, co czyni przy przedmiotach w wymiarze trzech godzin tygodniowo 1 godz. 48 minut (3 godz. 36 (tyg.) = 108 g.; 108 : 2 = 54; 2 min. × 54 = 108 minut). Do tego należy dodać dłuższe wypowiedzi przynajmniej przy okazji referatów, sprawozdań, — no i ćwiczeia piśmienne, o wiele częstsze, niż dawniej. Nie zapominajmy, że metoda lekcyjna zmusza do intensywnej pracy całą klasę. Proszę wierzyć, lub... sprawdzić.

Zmierzam do jednego: potrzeba nam *rzetelnej* współpracy domu ze szkołą. Rodzice winni drogą osobistego zetknięcia usuwać nieporozumienia, — nauczyciele — pokazać rodzicom prawdziwą szkołę, widzianą nie przez pryzmat dnia *wczorajszego*, tak różnego od *dzisiaj* szkoły polskiej.

J. M.

Do artykułu „Oceny pracy ucznia"

W sprawach szkolnych mam interlokutorkę w osobie uczenicy II gimnazjalnej, która uczy się bardzo dobrze. Omawiamy sprawy te na stopie zupełnie koleżeńskiej, bez jakichkolwiek morałów ,na poziomie porównawczym szkół obecnych i tych, do których ja uczęszczałem, mam więc zupełne zaufanie i szczerość ze strony mej interlokutorki. Z jednej z rozmów z nią dowiedziałem się ku swemu zdziwieniu, że pomimo doskonałych stosunków w szkole „ściągaczki" kwitną w niej jak za naszych czasów szkolnych. Jeżeli moje zdumienie było wielkie, to zdumienie mojej interlokutorki było jeszcze większe i prawie graniczyło z oburzeniem, że ja jestem tak naiwny i nie rozumiem takiej prostej rzeczy, że bez „ściągaczek", z których korzystają jeśli nie wszyscy to bardzo wielu, obejść się nie można. Dało to mi wiele do myślenia, a po głębszem zastanowieniu się doszedłem do przekonania, że „ściągaczki" są zupełnie naturalną i nieuniknioną ze strony dziecka reakcją na... stopnie i będą tak długo, jak długo będą stosowane stopnie.

Niewątpliwie przeznaczeniem stopni jest ocena i kontrola postępów ucznia, oraz zachęcenie i pobudzanie go do nauki, lecz w obu przypadkach chybia się celu. Jako instrument oceny stopnie są bardzo zawodne, co dobitnie dowiódł eksperyment jednego z dyrektorów gimnazjum w Warszawie, który rozesłał nauczycielom do oceny pracę ucznia, i otrzymał w odpowiedzi stopnie w granicach od dwójki do czwórki włącznie. A ilu jest nauczycieli, których inteligencja i intuicja nauczycielska godzi się z całkowitem ignorowaniem piątek; widocznie nauczycielowie ci instynktownie czują, że nie dorośli do swego zadania i nie potrafią tak poprowadzić swej klasy, by chociaż najzdolniejsi uczniowie zasługiwali na piątkę. A co powiedzieć o tym nauczycielu, który jak wskazuje p. S. M., ze spokojnym sumieniem „soli" (tak się wyraża moja interlokutorka) 75% dwójek z klasówki i nie zastanowi się nad tem, że to przecie dwóję postawił nie klasie, lecz sobie, bo albo nie potrafił klasy nauczyć, albo nie orjentuje się, czego od niej może wymagać. Charakterystyczne jest, że im lepszy jest nauczyciel i im lepszymi może się poszczycić wynikami swej pracy, tem łatwiej stawia stopnie, natomiast niewy-

tłumaczone jest, dlaczego przeważnie matematycy ignorują piątki (jak się wyraża moja interlokutorka „już się utarło, że matematycy nie stawiają piątek”). Drugi czynnik, dążenie do zachęty i wymierzania bezpośredniej nagrody, która się dziecku należy, o czem mówi p. S. M., także budzi wątpliwości. Prawda, przyjemnie otrzymać za klasówkę piątkę, lecz niestety gra tu rolę sama ta piątka, niezależnie od tego czy była zasłużoną czy nie. Dobry stopień daje korzyści, wyróżnienie, co pochlebia próżności, perspektywę dalszej nagrody w więcej realnej formie procentu ze strony rodziców, pewne przywileje ze strony nauczyciela i t. d., kwestja zaś zasługi niknie: 90% uczni woli otrzymać piątkę za klasówkę z zarzutami, aniżeli czwórkę za pracę bez błędów, bo i to się może zdarzyć, gdy nauczyciel obniży stopień z ubocznych powodów. Dobre stopnie są zależne przedewszystkiem i przeważnie od zdolności dzieci, a nie są ich zasługą, bo dzieci zdolne i wyposażone przez naturę w dobrą pamięć będą zawsze bez wielkich trudów i zawodów mieć dobre stopnie, natomiast dzieci o zdolnościach miernych pomimo usilnej pracy będą zawsze jechać na trójach. Czy to pedagogicznie, jak to ma miejsce przy ocenie postępów uczni stopniami, wyróżniać dzieci za to że zostały uprzywilejowane przez naturę, a krzywdzić te, którym natura poskąpiła swych darów.

Tak więc stopnie i jako instrument oceny i kontroli postępów ucznia i jako bodziec i środek zachęty do nauki zawodzą, cóż więc pozostaje? Chyba, jak wskazuje p. S. M. droga najmniejszego oporu, nie nauka lecz wykładanie przedmiotu, a w konsekwencji ocena pierwszej przypadkowej odpowiedzi, nie dającej pojęcia o całokształcie umysłowości ucznia. Wyradza się to koniec końców w jakąś walkę i stwarza dwa obozy: nauczycieli i uczni, nauczyciel dąży do przyłapania ucznia na złej odpowiedzi, uczeń stara się od tego uchronic, a obie strony w walce tej zapominają ,że przecież chodzi nie o stopień, lecz o naukę. A ponieważ w walce strona słabsza jest zmuszona w swej obronie używać forteli i podstępu, nic więc dziwnego, że uczniowie uciekają się najłatwiejszego i najprędzej prowadzącego do celu sposobu — „ściągaczek”. Nauczyciel „soli” stopnie w świętem przekonaniu, że ocena jego, jak mówi p. S. M., jest dogmatem, którego wartości nie wolno podważać, zaś uczeń „ściąga” i podpowiada w świętem przekonaniu, że nie przekracza granic „obrony koniecznej”. Ale jeżeli można usprawiedliwić ucznia, bo to jest dziecko, które nie zdaje sobie sprawy z nieetyczności swego czynu, to trudniej zrozumieć szkołę, która zmusza nauczycieli do stosowania systemu ocen stopniami, co nieuniknienie prowadzi do przerzucania winy na ucznia, do fałszowania nauki wykładami no i do... „ściągaczek”.

Im prędzej więc znikną w szkołach zupełnie stopnie i cenzurki, tem będzie lepiej. Nie powinno być żadnych, że tak powiem szczegółowych ocen, t. z. ocen poszczególnych odpowiedzi i prac, lecz nauczyciel powinien śledzić postęp w nauce uczni, i gdy ten postęp jest niedostateczny albo gdy nawet dobry uczeń zaczyna się zaniedbywać i opuszczać, upominać ucznia, a w poważniejszych przypadkach alarmować rodziców, przyczem rozmowa nauczycieli i rodziców, jak to bardzo trafnie i słusznie określa p. S. M. powinna być wspólnem dochodzeniem prawdy o dziecku. Inna rzecz, że jako środek pomocniczy, by pamięć nie zawiodła, nauczyciel będzie używał notesu, do oznaczania w nim w ten czy inny sposób, nie wykluczając nawet i stopni, postępu uczni, lecz to będzie jego sprawą osobistą, w stosunkach zaś z uczniami i rodzicami może mieć miejsce tylko ocena ogólna i nie związana ani z określonym terminem, naprzykład z końcem kwartału jak to ma miejsce obecnie, ani z poszczególnemi odpowiedziami i pracami klasowemi, lecz uzależniona

tylko od zmian w postępach. O ile by całkowite zaniechanie w szkołach systemu stopni, obecnie wstydliwie zamienionych na oceny słowne (dostatecznie, dobrze i t. d.), okazało się dla fachowców, skłonnych do bojaźliwego konserwatyzmu, posunięciem zbyt radykalnem, rodzice powinni się domagać w każdym razie kontroli i usunięcia zbyt rażących dysproporcyj w indywidualnych ocenach nauczycieli.

Inż. T. T.

Rodzice w szkole

Cel, który przyświeca pracy patronatów w szkole, jest tak wartościowy, że nie należy zaniedbać niczego, co wpłynie nato, by droga doń prowadząca była prosta i czysta.

Tworzące się dawniej przy szkołach „koła przyjaciół” miały na celu głównie pomoc materjalną — dziś obok dążenia do zapewnienia najlepszych warunków materjalnych, rodzice zabiegają o tworzenie z nauczycielstwem wspólnego frontu wychowawczego, chcą porozumienia, chcą nietylko słuchać, ale i mówić.

Nie będę tu podkreślała całej różnorodności zadań, jakie są przed rodzicami, dopuszczonymi do szkoły, otworzyły, ani też mówiła o wielkich korzyściach tej pracy: omawia się to już ciągle. Chcę raczej zastanowić się nad pewnem niebezpieczeństwem tej pracy, które może przerodzić się w walkę między rodzicami a nauczycielstwem, o ile w zarodku się go nie stłumi.

Już dziś słyszy się nieraz głosy niezadowolenia kierowników na nadmiar matek, kręcących się po szkole. Używano już na określenie obecności rodzicielskiej w gmachu szkolnym takich definicyj, jak „najazd” lub „buszowanie”. Był nawet artykuł w jednem z pism warszawskich, dyskredytujący zupełnie pracę matek, wprowadzający ją z histerji, z niezaspokojonych pragnień i t. p. Nawet ze strony młodzieży, szczególniej w wieku przełomowym, zdarza się nieprzyjazny stosunek do akcji patronatowej. Czy wolno nam zbyć takie fakty pogardliwem milczeniem, lub też pełną entuzjazmu dla siebie obroną swego stanowiska? Czy nie należy raczej zastanowić się, jakie *błędy* mogły wywołać takie a nie inne stanowisko?

Myślę, że te *błędy* istnieją, nie są jednak rzeczą *istotną* i łatwo je będzie usunąć. Nauczycielstwo i młodzież są od wieków gospodarzami szkoły, rodzice są tu przybyszami, są nową falą, wobec której z natury rzeczy buntują się konserwatywne przyzwyczajenia. Stąd przyjęcie przybyszów musiało być trochę nieufne, trochę ironiczne.

Z drugiej strony wspólnym mianownikiem tego niezorganizowanego narazie społeczeństwa rodzicielskiego było niekiedy nie *dziecko i jego wychowanie*, ale *własne dziecko* i jego obrona przed nauczycielem. Myśl o tem, żeby wytłumaczyć dziecko, nieraz wykłamać, być przy niem, pośpieszyć mu na pomoc — oto, co narazie pociągnęło do szkoły pewien procent matek.

Poza tem wśród tej wielkiej liczby ludzi o bardzo różnej kulturze, wykształceniu — mogą się znaleźć i istoty kłótliwe, i obraźliwe i takie nawet, które chcą spędzić czas, pogadać, może i poflirtować. Czy właśnie ten drobny procent elementu nieodpowiedniego nie rzuca się najbardziej w oczy nieufnego nauczyciela, który z westchnieniem wspomina dawne czasy ciszy i spokoju w czasie pracy szkolnej?

Jakże więc zaradzić tym przykrym niedomaganiom, psującym opinję pracy szczerej i naprawdę owocnej. Myślę, że jedynem wyjściem jest stworze-

nie ścisłej organizacji, przewidującej dla każdego członka wyraźny zakres pracy. Tylko ci spośród rodziców powinni przychodzić do szkoły, którzy tu mają zgóry przez zarząd przewidzianą pracę (oczywiście nie tyczy to rodziców, chcących się poinformować u wychowawców o postępach dziecka).

Każdy członek organizacji musi mieć wpojone przekonanie, że szkoła to poważna rzecz, że niema tu miejsca na żadne spory osobiste, na żadne pośpieszne wnioski o pracy nauczycielskiej, wypływające z pobieżnych obserwacyj. Matka w szkole nie może mieć dla oczu nauczyciela i ucznia — nawet pozoru rozszczebiotanej „paniusi" z kawiarni. Musi to być element równie poważny, jak pedagog. Uważałabym również, że należałoby skreślić ze statutów Kół rodzicielskich punkt o sądach rozjemczych.

Nie może być żadnych prywatnych niesnasek na terenie szkoły i niewolno przewidywać w statucie, że będą.

Pracujemy i chcemy pracować szczerze i dobrze, krytykujemy dzisiejsze środki pedagogiczne, robimy zarzuty nauczycielstwu — nieraz w ich nieobecności, nie dając im możności reakcji. Zapragnijmy i dla siebie krytyki, bo to jest najlepszy bodziec do samodoskonalenia. Zwróćmy się do nauczycielstwa z prośbą o wypowiedzenie się, co uważają w naszej pracy za nieodpowiednie; co im pomaga, ale co im też przeszkadza. Niech powiedzą otwarcie, ale z troską o dobro naszej wspólnej sprawy, jakie błędy w szkole popełniamy, abyśmy je mogli naprawić.

S. Michalska.

GŁOSY RODZICÓW

Luźne refleksje na temat artykułu prof. Szumana

Rodzina liczna „tradycyjna", w której nie brakłoby dostatecznej ilości rodzeństwa w różnym i to dość zbliżonym wieku, należy chyba coraz częściej do osobliwości. Gdy się zdarza, powiedzmy otwarcie, ma to miejsce zwykle tam, gdzie dziecko jest siłą roboczą (wieś), lub gdzie panoszy się nędza, warunki są takie, że wartość gromady rodzinnej zatraca swe cenne znaczenie. Czułej miłości starcza najwyżej dla najmłodszej istotki, dziecko niewiele co starsze wzrasta w atmosferze obowiązku, bynajmniej nie izolowane od trosk, ciężarów i brudów współczesnego życia. Na wszelkich stopniach życia społecznego spotykamy się bądź z czułą miłością rodzicielską, bądź z daleko posuniętą obojętnością, o różnem nasileniu, zmieniającem się od wypadku do wypadku, zależnie od faktów i przeżyć, które gotuje życie.

Izolowanie dziecka do czasu ma miejsce w każdej rodzinie, granice trudno zakreślić, ale granice być muszą, bo otaczanie dziecka zaklętem kołem ochrony i posłuszeństwa może być dla niego uciążliwe.

Często się zdarza, że posłuszeństwo uznane, jako naczelne słowo wychowania, wydaje owoce wątpliwej wartości. Dziecko, które musi stale słuchać, staje się bierne, pozatem najczęściej wyczuwa przemoc i przy lada okazji stara się odegrać na słabszym od siebie (młodsze dzieci, zwierzęta). Tymczasem dziecko, nawet małe, potrafi zrozumieć (po swojemu) słuszne motywy postępowania starszych, o ile przystępnie je objaśniać, ale pod warunkiem, że rodzice postępują uczciwie i dziecko ani razu nie spostrzeże się, że je okłamano. Brak kłamstwa, nawet w najdrobniejszych poczynaniach, pilne przestrzeganie, aby nie wyszło najaw tam, gdzie było życiową koniecznością (izo-

Dwójek nie ma, bo jest zdolny i uważny, ale przecież chyba i takie dziecko musi mieć czas i wypoczętą głowę na przygotowanie lekcyj w domu.

I tak mija jeden dzień za drugim, Heniuś ciągle się spieszy, dobrze chyba nie zdąży nic zrobić, jest znużony, coraz częściej zdenerwowany, bo już i ojcu i mnie czasem niebardzo grzecznie odpowie, choć później ucałuje i przeprasza. A już dla młodszych, to on — taki kochający brat i opiekun — zupełnie nie ma czasu.

Rozpisałam się tak długo o tem, co mnie boli, ale chciałabym wiedzieć czy i inne matki mają choć trochę bólu z tych samych powodów, a mądrzejsi ode mnie może mnie coś poradzą, jak mam postępować z dzieckiem, aby to wszystko było w porządku.

Julja Br.

SPRAWOZDANIA

Kilka słów o Instytucie Higjeny Psychicznej

Termin „higjena psychiczna", który pojawił się u nas stosunkowo niedawno, mieści w sobie treść nie zawsze dostatecznie jasno rozumianą przez szeroki ogół rodziców i wychowawców. Co to znaczy „higjena psychiczna"? — wyraz „higjena" jest znany. Otóż higjena psychiczna jest higjeną psychicznego życia człowieka. Celem higjeny — zachowanie zdrowia i zapobieganie chorobom, celem higjeny psychicznej — utrzymanie zdrowia psychicznego i zapobieganie zaburzeniom nerwowym i psychicznym. Zadania instytucyj higjeny psychicznej, analogicznie do zadań instytucyj poświęconych badaniom i szerzeniu zasad higjeny, polegają na: poznawaniu i wskazywaniu koniecznych dla zachowania zdrowia psychicznego warunków, na przeciwdziałaniu zaburzeniom nerwowym i psychicznym tam, gdzie naskutek bądź warunków życia, bądź pewnych wrodzonych dyspozycyj mogą się one rozwinąć.

Niedawno, przy Państwowej Szkole Higjeny, powstał Instytut Higjeny Psychicznej, instytucja, która, w szeroko zakrojonym programie, stawia sobie za zadanie: z jednej strony przeprowadzanie badań i prac w dziedzinie higjeny psychicznej, z drugiej strony, propagowanie zasad higjeny psychicznej oraz tworzenie i prowadzenie placówek do walki z nerwowemi i psychicznemi chorobami. Chciałabym poinformować czytelników „Rodziny i Dziecka" o pewnych działach pracy Instytutu H. P., tych mianowicie działach, które przez swój związek z dzieckiem i wychowaniem powinny bliżej zainteresować rodziców i wychowawców.

1. Oddział i Przychodnia dla dzieci i młodzieży z zaburzeniami nerwowemi, psychicznemi i trudnościami wychowawczemi[1]). Przychodnia czynna jest

---

[1]) Muszę tu zaznaczyć, że w Warszawie od szeregu lat istnieje kilka analogicznych poradni, zorganizowanych bądź przez instytucje społeczne, bądź przez Miejskie Ośrodki Zdrowia: np. pierwsza w Warszawie, założona przeszło 10 lat temu przez dr. Rozenblumównę Poradnia Pedologiczna przy T-wie Przyjaciół Dzieci, poradnie w Ośrodkach Zdrowia na Mokotowie i Grochowie, poradnia przy Patronacie i t. d. Oddział natomiast, jest pierwszą w Polsce tego rodzaju instytucją.

3 razy w tygodniu. Zgłosić dziecko do przychodni można każdego dnia w godzinach przedpołudniowych. Pierwsze badanie dziecka obejmuje z reguły 2 wizyty (w wyjątkowych tylko przypadkach mogą się one odbyć jednego dnia). Podczas pierwszej wizyty pielęgniarka społeczna przeprowadza z matką zgłoszonego dziecka wywiad, t. j. wypytuje szczegółowo matkę o przyczynę zgłoszenia i o wszystkie dane, mogące mieć znaczenie dla wyjaśnienia przejawiających się u dziecka zaburzeń czy trudności: dotyczy to zarówno dziedziczności, jak i pierwszych lat rozwoju dziecka, zarówno przebytych chorób, jak i warunków życia, atmosfery domowej i t. d. Wywiad taki trwa nieraz przeszło godzinę. W tym samym czasie, gdy matka udziela pielęgniarce potrzebnych informacyj, dziecko zostaje poddane badaniom psychologicznym, w celu stwierdzenia ogólnego poziomu rozwoju umysłowego. Dzieci zazwyczaj chętnie rozwiązują „ciekawe zagadki", nie mające nic wspólnego z „egzaminem" w sensie szkolnych egzeminów. Druga wizyta obejmuje badanie lekarskie fizycznego, nerwowego i psychicznego stanu dziecka, poczem na podstawie wszystkich uzyskanych badań, następuje wydanie rodzicom orzeczenia i wskazówek leczniczo-wychowawczych. Zdarza się często, że sprawa nie zostaje wyjaśniona po pierwszem badaniu, że wymaga bardziej szczegółowych badań, obserwacyj dziecka i t. p., wówczas wyznacza się dziecku dalsze wizyty, a w razie potrzeby skierowywuje się dziecko na obserwacje na Oddział i dopiero po uzupełnieniu badań wydaje się orzeczenie i wskazania.

Oddział jest przeznaczony dla 30—40 dzieci i młodzieży w wieku od lat 3 do 16, dla tych mianowicie przypadków, w których bądź ustalenie diagnozy, bądź wydanie wychowawczo-leczniczych wskazań rodzicom wymaga dokładniejszych niż to możliwe jest do przeprowadzenia w przychodni, badań i obserwacyj. Dzieci umieszczone na Oddziale przebywają tam tak długo, dopóki cel ów nie zostanie osiągnięty. Czas pobytu dziecka na Oddziale waha się zazwyczaj od kilku dni do paru miesięcy. Tryb życia dziecka na Oddziale ujęty jest w pewne ramy, podobnie jak w zakładach wychowawczych. Dzieci pozostają pod stałą opieką wychowawców, przerabiają lekcje, poświęcają pewien czas zajęciom ręcznym (wycinanie laubzegą, introligatorstwo, rafja), chodzą na spacery, mają świetlicę, bibljoteczkę, gazetkę ścienną, gry i zabawy ,przezrocza, film i t. p.

Chodzi o to, aby wytworzyć takie warunki i taką atmosferę, w którychby się dziecko czuło jak najswobodniej i dało się poznać jak najwszechstronniej. Zazwyczaj, po wyjściu dziecka z Oddziału, utrzymuje się dalszy kontakt z dzieckiem i rodzicami (przez Przychodnię).

Jakie dzieci należy kierować do Przychodni I. H. P.?

Przypadki, w których występują wyraźne zaburzenia nerwowe czy psychiczne napewno nie nasuwają tu wątpliwości. Można tylko dodać, że im wcześniej takie dziecko zostanie zbadane, im wcześniej rozpocznie się leczenie, tem lepiej. Natomiast pewnych wyjaśnień wymaga sprawa t. zw. „dzieci trudnych do prowadzenia". Trudności wychowawcze, na które u dziecka napotykają rodzice i wychowawcy mogą mieć u podstawy bądź błędy wychowawcze (rozumiejąc pod tem zarówno zamierzone oddziaływanie otoczenia na dziecko, jak i niezmierzone wpływy środowiska i warunków życiowych), bądź wrodzoną dziecku strukturę psychiczną która dysponuje do niewspółmiernych z bodźcami reakcyj. Dzieci z taką strukturą psychiczną, wywołując nieraz szereg niezrozumiałych napozór konfliktów z otoczeniem, są ciążką troską rodziców, którzy widzą bezskuteczność takich metod wychowawczych, które w odniesieniu od innych dzieci dawały zupełnie zadawalające rezultaty. Dziecko bowiem

z taką strukturą psychiczną wymaga zupełnie specjalnych, dostosowanych do typu danej osobowości, metod postępowania. Najczęściej się zdarza, że u dziecka trudnego do prowadzenia współistnieją i potęgują się nawzajem oba podane wyżej rodzaje przyczyn trudności wychowawczych. W takich wypadkach poznanie osobowości dziecka, dotarcie do źródeł trudności wychowawczych ,wypracowanie odpowiednich metod postępowania z dzieckiem, a niekiedy i stworzenie specjalnych warunków wychowawczych może wpłynąć dodatnio na dalszy rozwój, skrzywionej jakgdyby osobowości dziecka, może zapobiec pojawieniu się psychicznych i nerwowych zaburzeń.

2. Innym działem prac Instytutu Higjeny Psychicznej, mogącym zainteresować rodziców i wychowawców są odczyty z zakresu wychowania i higjeny psychicznej w sali T-wa Higjenicznego na Karowej. Rozpoczęty przed 2 tyg. cykl odczytów, jest powtórzeniem (z pewnemi niewielkiemi zmianami) odczytów, odbywających się tamże w roku ubiegłym co piątek od lutego do czerwca.

Poruszane wówczas były i oświetlane z punktu widzenia higjeny psychicznej takie np. zagadnienia wychowawcze jak: zabawy i zajęcia w życiu dziecka, kary i nagrody jako czynniki wychowawcze, rozwój i wychowanie płciowe dziecka, lenistwo, upór, kłamstwa u dzieci i młodzieży i t. d.

Rodzice, dbający o zdrowie psychiczne i racjonalne wychowanie swego potomstwa mają możność wzbogacenia swoich wiadomości z zakresu wychowania i zrewidowania podstaw stosowanych przez siebie w postępowaniu z dziećmi metod.

3. Dla rodziców dzieci ze szkół powszechnych, rekrutujących się przeważnie ze sfer robotniczych i bezrobotnych istnieje w lokalu Instytutu Higjeny Psychicznej „Szkoła dla rodziców", w której co czwartek odbywają się pogadanki i dyskusję na tematy wychowawcze, dostosowane odpowiednio do warunków życiowych i poziomu intelektualnego słuchaczy.

W miarę realizowania się innych punktów programu Instytutu H. P. odnoszących się do spraw związanych z wychowaniem (w ciągu najbliższych miesięcy mają się rozpocząć odczyty radjowe, poruszające zagadnienia higjeny psychicznej dzieci i młodzieży, ma się również ukazać bibljoteczka higj. psychicznej przeznaczona dla rodziców i wychowawców) będziemy o tem czytelników „Rodz. i Dziecka" informowali.

Bliższe informacje: Instytut Higjeny Psychicznej Puławska 91, tel. 9-55-19.

LEKTURA DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

Bennet John. S k o w r o n e k. (Master Shylark). Przełożyła St. Honesti. Lwów. Ks.-Atlas, str. 254.

Powieść z czasów Szekspira. Mały Nick Attwood, synek garbarza, obdarzony prześlicznym głosem, jest uprowadzony z Stratfordu do Londynu, przez Carewa, aktora trupy Lorda Admirała. Carew wyzyskuje talent małego Nicka - Skowronka dla celów pieniężnych; roztacza nad chłopcem czujną opiekę, która uniemożliwia ucieczkę i powrót do domu rodzicielskiego. Niezepsutemu chłopcu nie imponuje powodzenie artystyczne ani przepych dworu królowej Elżbiety, którą ma okazję poznać; tęskni za matką, za życiem w ubogim domku. Towarzyszką Nicka i pociechą w jego nieszczęściu jest córeczka Carewa, z którą Nick, po śmierci swego prześladowcy, wraca do domu.

Książka ciekawie maluje ówczesne życie. Postać Szekspira występuje fragmentarycznie, ale wyraźnie. Oryginalne ujęcie, wprowadzenie na widownię dziecka - artysty, duże wartości etyczne chłopca, czynią z książki lekturę nieprzeciętną.

Wiek 12 — 14.

B. G.

Šmejkal J. V. Sfora bieguna południowego. Powieść z antarktydy. Spolszczyła M. Bunikiewiczowa. Lwów. Ks.-Atlas, str. 286.

Tłem powieści jest wyprawa komandora Byrda do bieguna południowego w r. 1929. Autor oparł się na autentycznych dokumentach, ogłoszonych przez Byrda; współudział autorski dr. Vojtecka, jednego z uczestników wyprawy, daje rękojmię, że przy czytaniu, przeżywamy radości i smutki, które gotuje kraina Wielkiej Białej Ciszy, pozostawiająca niezatarte, głębokie wrażenia.

Autor odmalowuje dokładnie wartości naukowe ekspedycji, zapoznaje z współuczestnikami, występującymi pod prawdziwemi nazwiskami. Postacią zmyśloną jest główny bohater fabuły powieściowej Dan Jolson, który w krainie Białej Ciszy szuka zapomnienia po zawodach sercowych. W podróży towarzyszy mu cień tajemniczej dziewczyny — Marjorie, która roztacza nad nim opiekę, starając się uzdrowić zranione serce.

Trzecim tematem, nierównie ciekawym i nad wyraz pięknym, jest życie psich zaprzęgów polarnych, przyjaźń z poganiaczami. Czujne, wierne, ponad ludzką mądrość rozumne zwierzęta oddają nieocenione usługi ekspedycji, stanowiąc wraz z poganiaczami, oparcie dla jej naukowych poczynań. — Kuskokwina z zaprzęgu Dana Jolsona przyczynia się doskonale do odzyskania równowagi duchowej przez Dana.

W powieści góruje piękna postać komandora Byrda, wnikliwego, mądrego, szlachetnego kierownika, który umie wytworzyć w rodzinie polarnej prawdziwie koleżeńskie stosunki, oparte na równości i wzajemnej życzliwości.

Wiek 13 — 15.

Rytardowie H. i J. M. Wilczur z Prohyby. Powieść. 17 il. i okładka W. Czarneckiego. Geb. i W. W-wa, 1935.

Zespół zakopiański bierze udział w narciarskim „Marszu Zimowym Huculskim Szlakiem II Brygady Legjonów Polskich". Impreza odbywa się w lutym, na pamiątkę marszów i bojów na Pokuciu, jako hołd oddany tym, „co 20 temu, odwagą, ofiarnością i wytrzymałością fizyczną porwali za sobą liczne rzesze Hucułów". Zakopiańczycy, pomimo wysokiej klasy, nie uzyskują pierwszych miejsc, ale przytomność umysłu i ofiarność przodownika zespołu sprawia, że zespół przybywa na metę i oddaje przepisową ilość strzałów.

Poza tym tematem, który jest jakby tłem książki, rozegrywa się walka gospodarzy huculskich z dwoma wrogami: kłusownikiem Iwaniukiem i starym wilkiem Baśką. Tropienie złodzieja - kłusownika i polowanie na wilki dostarcza zakopiańczykom niezapomnianych wrażeń i zaznajamia ze zwyczajami i obrzędami huculskiemi.

Autorzy, narciarze, zrośnięci z górami, wybornie malują rozkosze związane z uprawianiem sportu narciarskiego. Znajomość zasad szlachetnego współzawodnictwa sportowego, umiłowanie gór, podziw dla odrębności Huculszczyzny, starają się przelać na karty książki.

Przygody, które spotykają bohaterów, czasem są trochę nieprawdopodobne, ale przyczyniają się do urozmaicenia powieści - przygody, choć nie wybiega ona poza środowisko uroczej górskiej przyrody.

Wiek 13 — 15.

Radlińska Helena. P o s i e w w o l n o ś c i. Listy Joasi Strumińskiej z etapów i zesłania. „Przymierze z książką". T. VIII. W-wa, 1935. „Nasza Księgarnia", str. 142.

Joasia Strumińska, córka lekarza i nauczycielki, jedzie z rodzicami na Syberję. Ojciec, członek bojowej organizacji PPS, jest zesłańcem politycznym; towarzyszy mu żona (później również aresztowana) i córka. Wyjazd następuje nagle i dziewczynka, nie zdążywszy pożegnać się z koleżankami, przesyła im, wzamian listów, kartki swego pamiętnika.

Joasia w czasie podróży poznaje towarzyszy rodziców i innych zesłańców politycznych; po szeregu głębokich przeżyć na etapach i w więzieniach (zakuwanie w kajdany, rewizje osobiste, rozmowy z zesłańcami i t. p.) przybywa na miejsce zesłania. W nowych, nieznanych warunkach znajduje nowych przyjaciół; poznaje ludność, wśród której żyje, „patrząc na tutejszych ludzi nie zgóry, nie zboku, tylko od środka ich życia i jakgdyby trochę zdołu" (str. 91). Książka tchnie bezpośredniością własnych przeżyć; w sposób nadzwyczaj prosty maluje wielkie ogniwo walk rewolucyjnych, głęboki wzajemny stosunek ludzi, związanych z ruchem, oraz stosunek do ludzi z którymi wiąże ich nowe życie (Ostjacy, Tatarzy i t. d.).

Dopowiedzenie zwięźle objaśnia tło polityczne w latach 1904-5 i podaje źródła, pogłębiające poruszane zagadnienia społeczno-polityczne.

Wiek od 15 lat.

Rychliński Jerzy Bohdan. P r z y g o d y K r z y s z t o f a A r c i s z e w s k i e g o. Lwów. Ks.-Atlas, str. 182.

Zajmujące dzieje wojaczki Krzysztofa Arciszewskiego, rycerza wieku XVII, banity za chwilę uniesienia, rozwijają się przed nami w kilkunastu świetnych obrazach. Widzimy Arciszewskiego we Francji, w Holandji, Brazylji, wreszcie pod Zborowem. Odmalowane postaci są z krwi i kości, żyją, walczą, kochają, nienawidzą. W pierwszym rozdziale rycerz wybiera pomiędzy Marsem i Wenerą; subtelna intryga miłosna przenika do następnych obrazów.

Język archaiczny nie utrudnia przyswajania piękna, bijącego z kart książki.

Zwięzła przedmowa daje tło historyczne.

Wiek od 16 lat.

B. G.

OMYŁKI DRUKU.

W artykule „Służąca i dziecko" w Nr. 4 na dole str. 109 winno być Pegotty zamiast Pegeotty, zaś na str. 111, 12 wiersz od dołu, — amikoszonerja zamiast koszonerja.

RODZINA I DZIECKO

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WYCHOWANIA DZIECKA W DOMU, W SZKOLE I W ŚRODOWISKU

Redaktor: JANINA RENDZNEROWA
Przewodnicząca Zespołu Rodziców Grupy Zrębu

Wydawca w imieniu Tow. Kultury i Oświaty
IRENA POSSELTÓWNA

Prenumerata wynosi: kwartalnie (3 zeszyty) — zł. 2 gr. 40
rocznie (10 zeszytów) — zł. 7 gr. 50

PRENUMERATA ULGOWA DLA KÓŁ RODZICIELSKICH
opłacających prenumeratę zbiorową (od 10 egzemplarzy)
wynosi **70 gr** za numer

Cena numeru pojedyńczego 1 zł.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Al. Ujazdowska 20 m. 7, tel. 9.91-08

Zgłoszenia przyjmują wszystkie Urzędy Pocztowe
za pośrednictwem blankietów rozrachunkowych

Redakcja rękopisów nie zwraca; prace winny być pisane na maszynie
na jednej stronie arkusza